

Antoni Bojańczyk

Świadcownia i inne słowa umarłe

Palestra 50/11-12(575-576), 135-137

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KULTURA SŁOWA

Antoni Bojańczyk

ŚWIADKOWNIA I INNE SŁOWA UMARŁE

Wyrazy, które umarły i które umierają – zimowy tytuł książki, która ukazała się nakładem wydawnictwa Hoesicka na kilka lat przed wybuchem II wojny światowej. Jest to słownik osobliwy, który tym różni się od wielu innych, że obok definicji wyrazów zawiera – rzadka rzecz – także wyroki. Zresztą są to wyłącznie wyroki skazujące.

Najsurowsza kara to „+”. Śmierć leksykalna. Złowieszczy krzyżyk oznacza bowiem – jak podaje autor słownika – „wyraz przestarzały, wyszły z użycia, czyli *umarły*”.

Wyroki te nie były, jak się miało okazać, ostateczne. Na pewno nie wszystkie. Żywa polszczyzna tylko część z nich wyegzekwowała. Bo kto dziś na przykład wie, że jeszcze na początku ubiegłego wieku w Warszawie pewien – powiedzmy – Jankiel-Ela Szpilfejgiel, kupiec bławatny zza Żelaznej Bramy, mógłby wręczyć (a jakiś urzędnik carski mógłby przyjąć) rebuchę (łapówkę, z hebrajskiego *rebuchem*). Chyba tylko językoznawcy. Ale już wskazane w *Wyrazach, które umarły*... słowo „poplecznik” (wyrok najsurowszy: „+”) ostało się. Żyje i ma się do dziś znakomicie. Tak jak wiele innych słów, wobec których autor słownika orzekł karę krzyżyka.

Przeglądając ten słownik zastanawiałem się, czy również w języku prawa wyrazy umierają. Tu słów umarłych i umierających powinno na dobrą sprawę albo w ogóle nie być, albo też być bardzo niewiele. Dlaczego? Jedna z wielu obiegowych opinii o prawnikach głosi przecież, że tę grupę zawodową cechuje wysoki stopień skostnienia. Tworzywem ich codziennej pracy jest język, także więc i on – w ślad za właściwościami mentalnymi tych, którzy się nim posługują – powinien być skostniały, zastygły w formach sprzed lat lub – nawet – wieków.

Poniżej odnotowuję garść prawniczych słów wymarłych. Sądzę, że zadają one kłam tezie, że język prawa i prawników jest językiem skostniałym. Są świadectwem ciekawych i często nie do końca zrozumiałych ścieżek nieustannej ewolucji tego języka.

Prawnicze wyrazy kończą żywot w dwojaki sposób.

Słowa języka prawnego wymierały i wymierają śmiercią całkowicie nieprzypadkową: ich unicestwienie (tak jak ich narodziny zresztą) dekretuje z premedytacją ustawodawca. Dobrym tego przykładem jest „rewizja”. W XIX wieku ten wyraz ma już dwa znaczenia: rewizja (u Lindego w 1859 r. jeszcze rewizya) to albo „przeszukiwania, przetrząsanie mieszkania przez powołane do tego władze” (słownik Arcta), albo „roztrząsanie sprawy, wyroku, rewizja procesu kryminalnego” (Orgelbrand, 1861). Ale na przykład w rosyjskiej ustawie postę-

powania karnego (1864) wyraz „rewizja” rezerwuje się tylko dla przeszukania mieszkania. Daną sprawę „roztrząsało” się bowiem z powodu apelacji, kasacji czy skargi incydentalnej. [Choć w przepisach przechodnich do rosyjskiej ustawy postępowania karnego z roku 1917 znajdujemy zupełnie nieoczekiwane wzmiankę o... rewizji! Sąd Najwyższy miał bowiem „orzekać w sprawach karnych, które przechodzą pod jego rozpoznanie wskutek skargi stron na ostateczne wyroki (...) w drodze kasacji lub rewizji”. Z kolei była rewizja znana na przykład ogólnoniemieckiej ustawie procesowej z roku 1877, obowiązującej na terenie byłego zaboru pruskiego; była ona w tamtym systemie procesowym odpowiednikiem kasacji]. Te założenia nazewnictwa przejmuje polska ustawa postępowania karnego z roku 1928 (rewizja osobista i domowa), ale „roztrząsanie sprawy” sprawy może nastąpić tylko po wniesieniu apelacji, kasacji czy zażalenia. Nie hołduje tu jednak prawodawca jakimś żelaznym regułem: otóż do kodeksu wojskowego postępowania karnego z roku 1936 wprowadza „rewizję”, a nie „apelację”, jako środek odwoławczy od wyroków sądów wojskowych wydanych w pierwszej instancji. To środek odwoławczy modelowo zupełnie inaczej ukształtowany niż apelacja. „Rewizja” z przedwojennego wojskowego kodeksu postępowania karnego jest zwiastunem powojennej rewizji głównego nurtu procedury karnej.

Ustawodawca początku lat 50. dokonuje rewolucyjnych zmian w przedwojennym kodeksie postępowania karnego. Wyrzuca z niego apelację i kasację. Zastępuje je rewizja właśnie i rewizja nadzwyczajna. Nie jest to – trzeba przyznać – tylko zmiana nazwy. Odmienne są założenia konstrukcyjne tych środków odwoławczych. Narodziny rewizji – środka odwoławczego – powodują jednak spory zamęt nazewniczy. W tej samej ustawie dalej przecież funkcjonują w najlepsze inne rewizje: osobista i domowa. Kasuje je dopiero kodeks z 1969 r. Rewizja jako środek odwoławczy i jako wyraz języka prawnego wymarła całkiem niedawno. W tym roku przypada dziesiąta rocznica jej śmierci normatywnej. Znowu zastąpiła ją apelacja i kasacja (zresztą dzisiejsza apelacja w postępowaniu karnym konstrukcyjnie bardziej przypomina rewizję, niż swą antenatkę z ustawy przedwojennej, zmiana nazwy miała bardziej charakter kosmetyczny). Rzecz przy tym ciekawa – rewizja wymarła jako słowo tylko w języku prawnym. Bo w języku potocznym (ba – nieraz niestety nawet w języku prawniczym!) środek odwoławczy od wyroku dalej określa się często mianem rewizji. Siła przyzwyczajenia.

A propos siły przyzwyczajenia. Ciekawe są losy innego słowa języka prawnego, skazanego przez ustawodawcę na wymarcie już w roku 1928. Chodzi o komplet orzekający. W kodeksie postępowania karnego 1928 r. mówi się bowiem o składzie sądu. Tymczasem słowo „komplet” okazało się ogromnie żywotne. W języku prawniczym było używane grubo ponad czterdzieści lat od momentu, kiedy znikło z ustawy procesowej. Jeszcze na początku lat 70. spotykamy ten zwrot tu i ówdzie w języku prawniczym (np. w orzecznictwie Sądu Najwyższego).

Wyrazy języka prawniczego wymierają z kolei śmiercią naturalną. Czasami jest ona spowodowana zmianami cywilizacyjnymi. Na przykład „świadkownia”. Dziś miejsce świadkowni zastąpiły korytarze. Jeszcze w latach międzywojennych w niektórych sądach świadkowie oczekiwali na wejście na salę rozpraw w osobnym pomieszczeniu, w świadkowni właśnie. W warszawskim Sądzie Okręgowym przy Miodowej znajdowały się co najmniej dwie. Krzyżyka bym przy tym słowie nie stawiał. Mogą jeszcze powstać świadkownie w nowych sądach. Z drugiej strony nie wydaje się, by pomysł grupowania świadków w jednym pomieszczeniu wpływał dodatnio na dokonywanie ustaleń faktycznych zgodnych z prawdą.

Niekiedy trudno podać przyczynę wymarcia słowa. Czy w pewnym momencie staje się ono zbyt staroświeckie dla ucha użytkownika? I wtedy zostaje odrzucone?

„Naocznia”. Zdziwiająca, ale w użyciu to słowo języka prawniczego (albo zbitka słowna „naocznia sądowa”) było zupełnie niedawno, bo jeszcze w latach 60. pojawiało się wcale często w orzecznictwie Sądu Najwyższego. Po roku 1969 z niewiadomych powodów „naocznia” nagle znika i wychodzi na dobre z użycia. Żadna ustawa nie posługiwała się tym zwrotem. W prawie mowa była (i do dziś jest) o „ogłędzinach”. Dawniejsze słowniki języka polskiego (Arcta, Lindego, Orgelbranda, spółki Karłowicz, Kryński i Niedźwiedzki) nie odnotowują „naoczni”. Dlaczego znika z naszego języka? Nie wiadomo. Albo taki «znawca»: według Orgelbranda to „znający się na czym, znajomca, znajomec”. Czyli biegły. I właśnie tego słowa (a nie słowa „znawca”) używa ustawodawstwo, począwszy od rosyjskiej ustawy postępowania karnego z roku 1864. W języku prawniczym przed 1939 r. często natrafiamy na określenie „znawca” używane jako synonim słowa „biegły”. „Skarga kasacyjna – czytamy w przedwojennym orzeczeniu Sądu Najwyższego – zarzuca zaskarżonemu wyrokowi obrazę (prawa) przez nierozważenie zeznań świadków i znawcy”. Po wojnie także spotykamy to słowo. Ale coraz rzadziej. I dziś nikt go już w tym znaczeniu (znawca=biegły) nie używa. Słowo wymarło.

I jeszcze jedno słowo w tym szkieletniku słów wymarłych. To „retenta adwokackie”. Ładne, staroświecko brzmiące. Ewokujące wiek XIX. Należy wątpić, by ktokolwiek się dziś nim jeszcze posługiwał. Ale niecałe piętnaście lat temu na tych łamach pisał (całkiem współczesny) adwokat warszawski: „sprawę znałem bardzo dobrze, retenta adwokackie prowadziłem w niej starannie...”. Z kontekstu od razu wiadomo, że retenta to tyle co notatki adwokackie. Skąd się to słowo wzięło? Z łaciny – rzecz oczywista. Bo *retentio* to przecież tyle, co zachowanie czego w pamięci. Szkopuł w tym, że żaden z istniejących słowników języka polskiego (także słownik *Wyrazów, które umarły...*) o takich retentach nie wspomina. Podaje się powszechnie – tak jak u Lindego – że retenta to „długów ostatki, nieopłacone sumy”. Korzenie i przeszłość retent adwokackich rysują się więc nam raczej mgliście. Przyszłość – mało optymistycznie.

Na tym zamykamy krótkie wspomnienie słów umarłych.